

Jestem niezależna od mody i ideologii

Z Ewą KURYLUK rozmawia Lidia WÓJCIK

– W Bibliotece Narodowej w Waszyngtonie pani książkę „Wiek 21” zaklasyfikowano jako science fiction, co pewnie bardzo panią rozśmieszy. Czy pisząc powieść po angielsku, liczyła pani w Ameryce na uznanie, zrozumienie, na czytelników w ogóle, skoro wiemy, że czytanie książek nie leży w tradycji tego wielkiego pionierskiego kraju?

– *Wiek 21* ukończyłam w 1988 r. Siedziałam w Ameryce od siedmiu lat, dostałam właśnie wiadomość, że mój paszport, nie będzie więcej przedłużany. Przewidywałam wówczas, że PRL upadnie nie wcześniej niż około roku 2010. Nie miałam szans na publikowanie w Polsce, a nie chciałam tkwić w obiegu emigracyjnym, bo się do tego nie nadaję. Od dzieciństwa jestem kosmopolitką, osobą nie przyzwyczajoną do siedzenia w jakimkolwiek małym getcie. Stąd decyzja, by pisać po angielsku. Publikowałam wtedy sporo w amerykańskiej prasie: „New York Times”, „Los Angeles Times”, „Village Voice”.

– Pisała pani dużo, żeby przeżyć w Ameryce?

– Przede wszystkim dla zarobku, ale także by oswoić się z językiem. Nie mogłam przecież od razu zabierać się do pisania po angielsku. Liczyłam na to, że moje teksty do gazet ktoś poprawi i będę się uczyć na błędach. Ameryka to kraj szalenie tolerancyjny. Kiedy po ogłoszeniu stanu wojennego w 1981 r. postanowiłam nie wracać do Polski, pisanie okazało się jednym ze sposobów na życie. Sprzedawałam też trochę moich bawełnianych szmatek, malowanych piórkiem, uczyłam na uniwersytecie, potem związałam się z kilkoma wydawnictwami, m.in. z Northwestern University Press, dla którego recenzowałam literaturę



Fot. Hanna Kirchner

Ewa Kuryluk, Paryż 1994

wschodnioeuropejską. Dyrektorem tego wydawnictwa był wówczas Jonathan Brent, z wykształcenia rusycysta, z pochodzenia rosyjski Żyd. Literatura tej części świata bardzo go interesowała. Dzięki niemu ukazało się wiele ciekawych książek, m.in. *Dzienniki Gombrowicza*, *Estetyka* Ingardena, *Rękopis znaleziony w Saragossie* Potockiego. Pracowałam też dla różnych pism, w „Arts Magazine” omawiałam wystawy, ale wyłącznie dawnych twórców. *Wiek 21* był moją trzecią książką napisaną po angielsku. Najpierw ukazała się w Ameryce angielska wersja książki o grotesce (pierwotnie moja praca doktorska na UJ). W Ameryce dobrze ją przyjęto, była obecna na rynku przez siedem lat. Potem ukazała się, równocześnie w Oxfordzie i w Cambridge, książka, nad którą pracowałam jedenaście lat, *Chusta świętej Weroniki*. W ubiegłym roku jej przekład portugalski odniósł duży sukces w Brazylii, kraju katolickim... pełnym sekt i

alternatywnych wizji chrześcijaństwa.

– W tamtych czasach istniała pani także w obiegu emigracyjnym, publikując na łamach paryskich „Zeszytów Literackich”.

– „Zeszyty” to moje dziecko, założyłyśmy je razem z Basią Toruńczyk w moim nowojorskim mieszkaniu mając w kieszeni 50 dolarów. Rokowałam temu pismu niedługi żywot, sądziłam, że przez dwa lata będziemy zbierać na nie pieniądze u wszystkich krewnych i znajomych, a potem upadniemy. Na początku udało mi się podłączyć „Zeszyty” do znanych organizacji w Ameryce, potem pismo przeniosło się do Paryża i tak trwa już trzynaste lat.

– Wyjeżdżając w 1981 roku z Polski była pani autorką kilku ważnych książek z zakresu historii sztuki, ale przede wszystkim uznana

malarką. W Ameryce zaistniała pani bardziej jako osoba pisząca – autorka wydawana przez ekskluzywne oficyny Blackwell w Oxfordzie i Dalkey Archive Press w USA – niż malarka. Czy polscy artyści są tak naprawdę obecni na amerykańskim rynku sztuki?

– Nikt nie jest obecny. Tak naprawdę wszędzie (z nielicznymi wyjątkami) artyści osiągają najwyższe ceny we własnym kraju i są najważniejsi w kręgu własnej kultury. Polacy tworzą poza konwencją amerykańskiej kultury. Świat zna polską sztukę bardzo słabo, jest prawie nieobecna w wielkich międzynarodowych zbiorach. Poza tym istnieją też rozmaite mody. Wpasowanie się w modę jest jednak na dłuższą metę zabójcze. Łatwiej przetrwać takim, którzy są na tyle oryginalni, że nie wiadomo, jak ich zaszklakować. Za życia łatwiej osiąga się sukces będąc polskim czy bułgarskim Renoirem. Ale *sub specie aeternitatis* lepiej chodzić własną ścieżką.

– Chodzenie własną ścieżką w sztuce pozwala pani żyć w Ameryce ze sztuki?

– Zawsze żyłam ze wszystkiego po trochu. W Polsce sprzedawałam obraz Muzeum Narodowemu, książkę Wydawnictwu Literackiemu. W Ameryce sprzedaję obrazy prywatnym kolekcjonerom, miewam sporo wystaw w Japonii, Europie i również w Ameryce, ale przede wszystkim utrzymuję się z pracy na uniwersytecie. Uczę historii sztuki.

– Czy uczy pani amerykańskich studentów również o polskiej sztuce?

– Zarówno polską sztukę, jak i Polskę znam słabo; mieszkalam tu tylko przez osiemnaście lat. Resztę życia spędziłam za granicą. Polska sztuka to dla mnie kilka postaci, np. Bruno Schulz, którego wydawcą i przyjacielem był przed wojną mój ojciec, Marek Hłasko, któremu ojciec wiele pomagał i być może z tego powodu przestał być ministrem, kiedy Hłasko w 1958 r. wybrał emigrację. Znacznie lepiej znam Wiedeń, secesję, sztukę przełomu wieków, i takie kursy często prowadzę na amerykańskich uniwersytetach.

– Mieszka pani od lat na przemian w Nowym Jorku i Paryżu, wielkich, zatłoczonych miastach, gdzie – jak powiada słynny amerykański socjolog Alvin Toffler – świat jest coraz bardziej ciasny i bezwzględny. W wielkich miastach nie poznaje się tak naprawdę ludzi i prawdziwego życia; czy to aby dla artysty dohrze?

– Dla jednego tak, dla drugiego nie. Zresztą nie jestem ani typową pisarką, ani typową malarką, ani typowym amerykańskim pro-

fesorem. Żyję sobie tak, jak mi się podoba. Przez jakiś czas mieszkalam na amerykańskiej prowincji: byłam stypendystką Fundacji Rockefellera w Północnej Karolinie, wykładałam na uniwersytetach w Princeton i w San Diego. Ale mniej mi to odpowiada niż życie wielkomiejskie. Choć w Nowym Jorku mieszka jedenaście milionów ludzi, to jeśli zamknę się w swoim mieszkaniu i włączę automatyczną sekretarkę, czuję się jak na bezludnej wyspie. Gdy latem 1987 zaczęłam pisać *Wiek 21*, przez trzy miesiące prawie nie wychodziłam z domu, nie odbierałam telefonów; przed straszliwym upałem chroniła mnie klimatyzacja. Zapewne nie było to zbyt zdrowe. Za to pozwoliło mi żyć w świecie tej książki.

– Żyje pani – jak słyszę – dosyć niepospolicie, nie przywiązując wagi do codziennych spraw; czy taki jest obowiązujący artystkę styl życia w Ameryce? W Polsce panują ostatnio zupełnie inne mody, pisarki, artystki opowiadają o wychowywaniu dzieci, smażeniu konfitur, a jednocześnie nie piszą niezłe książki...

– Nie wierzę w mody, nic mnie nie obchodzi, co najwyżej śmiesz. Kiedy przyjechałam do Ameryki, panowała tam moda na zdrowe odżywianie. Jestem bardzo szczupła, więc na przyjęciach często mnie pytano, co jem, a ja odpowiadałam: ryż z cukrem. Rzeczywiście, miałam wówczas mało pieniędzy, a ryż zawsze lubiałam. Później Kazimierz Brandys napisał o tym, a znajomi w Polsce myśleli, że popadłam w kompletną nędzę. Tymczasem ja po prostu żyję sobie, jak chcę: niezależna od mód i ideologii.

– W Polsce jednak uchodzi pani za osobę związaną z ideologią feministyczną, a o pani najnowszej książce pojawiły się opinie, że to powieść postmodernistyczno-feministyczna. Czy rzeczywiście pani jest związana z ruchami feministycznymi?

– Są różne pojęcia feminizmu. Można należeć do partii feministycznej, lecz ja jej członkiem nie jestem i nie wyznaję zgodnych z linią partyjną poglądów. Ale doceniam feminizm jako ruch walczący o równouprawnienie kobiet. Uważam, że kobietom powinno się płacić za tę samą pracę tyle samo co mężczyznom.

– Czy pani doświadczyła w Ameryce braku równouprawnienia?

– Osobiście nie, bo na tym poziomie kultury, na którym funkcjonuje, jest zawsze największe równouprawnienie, przynajmniej pozornie. Inaczej jest w fabryce sardynek. W sztuce wynagrodzenie to w ogóle sprawa płynna i względna. Niemniej zarówno w Ameryce, jak i wszędzie indziej, dzieła artystek są zwykle tańsze



Ewa Kuryluk, *Kim jest ten tajemniczy chłopczyk?*, 1993–94, instalacja w ogrodzie cesarskim w Kioto, kwiecień '95

od dzieł artystów. Odzwierciedla to pogląd, że sztuka kobiet jest gorsza. Zresztą często jest, lecz nie z braku talentu. Kobiety są nadal tak rozdarte! Oczekuje się od nich, że będą wychowywać dzieci, smażyć konfitury, tworzyć wielkie dzieła – wszystko naraz. A to po prostu niemożliwe. Iluż mężczyzn-artystów rezygnuje z założenia rodziny, z dzieci, by móc robić to, co chcą. Żeby coś osiągnąć w sztuce, trzeba machnąć ręką na wiele innych rzeczy. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że bardziej warto malować obrazy niż gotować obiady. Można też robić jedno i drugie bez zbytnich pretensji i miło sobie żyć. Rzecz najważniejsza: nikogo nie pouczać, jak ma żyć, na nikogo nie wywierać presji.

– Ale feminizm usiłuje wciskać kobiety w określone ramy, walcząc o to, czego nie wszystkie kobiety tak naprawdę chcą.

– Nie, nie sędzę. Feministki walczą raczej o prawo do wyboru. Nie chodzi im o to, by wszystkie kobiety pracowały w przemyśle zbrojeniowym, ale o to, że gdyby któraś z nich pragnęła tam pracować, mogłaby dostać pracę. Jestem, jak feministki, za równymi prawami dla wszystkich, co nie znaczy, że każdy musi z istniejącego prawa skorzystać.

– Pani najnowsza książka poza wątkami, akcentami feministycznymi jest tak naprawdę książką o kulturze, o sztuce, o życiu w sztuce... wypełniają ją postaci wzięte z historii literatury, z historii sztuki, np. Picasso, Lowry, Goethe, Anna Karenina... Czy te postaci i rzeczywistość literacka jest pani bliższa niż życie?

– Psychikę każdego z nas w dużej mierze tworzy kultura; psychikę współtworzą przeczytane książki, a te z kolei są odbiciem nas samych. Książki zawierają prawdy o życiu: każda nieszczęśliwie zakochana kobieta jest Anną Kareniną – choć troszeczkę. Powieść Tołstoja to archetyp dramatu miłosnego.

– Takich dramatów zdarza się w życiu wiele.

– Tak, ale jeśli jakaś Anna Kowalska była kiedyś pod wrażeniem *Anny Kareniny*, to gdy nieszczęśliwie się zakocha, w jej dramacie na pewno będzie coś z tej wielkiej literackiej postaci. Nikt z nas nie istnieje poza kulturą, my z tego nie zdajemy sobie nawet sprawy, ale mimowolnie kierujemy się wyobrażeniami, marzeniami, które funkcjonują w kulturze, w której wychowaliśmy się i która jest najgłębszą częścią nas samych – dotyczy to, oczywiście, ludzi wykształconych. Moja książka przywołuje postaci literackie po to, aby powiedzieć właśnie, że one są częścią nas samych. Tkwią w kulturze i moją książkę napisałam dla ludzi takich jak ja, którzy odwołują się do tych samych kanonów kultury.

– W pani książkach, również w „Wiek 21”, pojawiają się dosyć śmiałe wątki erotyczne, tematy tabu, np. menstruacja. W ostatnich sezonach polskie pisarki młodsze pokolenie również podejmowały te tematy, ich książki zostały bezlitośnie obśmiane przez krytykę jako „literatura menstruacyjna”. Czy pani nie obawia się, że tak samo może się zdarzyć z pani powieścią?

– Nie bardzo wiem, co dzieje się w Polsce, słabo znam polską dzisiejszą kulturę i nie wiem, jak moja książka będzie tu przyjęta w obecnych czasach; zresztą miała się ona ukazać po polsku przed dwoma laty. Nie czytam współczesnej literatury polskiej i współczesnej literatury w ogóle. Czytam głównie to, co jest mi potrzebne do pisania książek z historii sztuki, teraz na przykład – legendy i traktaty o św. Agacie i Łucji – po grecku, łacinie, włosku, niemiecku, francusku.

– Czy to dobrze, skoro ma pani ambicje, aby pisywać również powieści?

– Nie wiem, czy to dobrze. Ale też nie wierzę, by można było stworzyć coś naprawdę nowego. Wszystko zostało już napisane, a rzecz tylko w tym – jak: odrobinę lepiej lub odrobinę gorzej. Ale skoro zajmuję się tym, czym nikt inny się nie zajmuje, czytam to, czego nikt inny nie czyta, to mam może większą szansę, by stworzyć coś oryginalnego.

– Rzeczywiście, dziejami świętej Agaty chyba nikt w Polsce, a może i na świecie nie zajmuje się. Czy wybierając takie tematy dla swoich książek myśli pani o tym, by zapracować na oryginalność, czy może są to naprawdę pasjonujące rzeczy?

– Nad książką o *Chucie św. Weroniki* pracowałam jedenaście lat i pod koniec byłam nią już kompletnie udręczona, ale wciąż było mi żal ją porzucić.

– Będąc córką znanego publicysty, ministra kultury (w latach 1956–58), a potem ambasadora w Wiedniu, znała pani elitę PRL-owską, otarła się pani zapewne o wielu znaczących wówczas ludzi i wiele ważnych spraw. Czy nie są to rzeczy równie ciekawe do opisania jak żywot świętej Weroniki?

– Od lat piszę wspomnienia i zamykam je do sejfu. Niech wyjdą w pięćdziesiąt lat po mojej śmierci. Rzeczywiście, sporo wiem o rozmaitych sprawach, ale to wiedza pod każdym względem kłopotliwa, szczególnie w takim kraju jak nasz – zbudowanym na straszliwym kamuflażu: historycznym, politycznym, intelektualnym. Im bardziej jakiś kraj jest udręczony, tym bardziej kamuflaż jest konieczny, pozwala przeżyć. Gdy odejdzie cała moja współczesność, przyjdzie czas na moje wspomnienia.

– Czy kogoś to wtedy będzie obchodzić?

– Sprawy ciekawe są zawsze ciekawe, nawet po wiekach. Jeśli uda mi się podważyć niektóre pewniki, pokazać, co było mitem, konwencją, kłamstwem, powinno to być zajmujące, a nikogo już nie urazi. Dzienniki Tomasza Manna opublikowano, gdy żyła jeszcze jego prawie stuletnia żona Katia. Musiały jej sprawić sporą przykrość.

– Niesprawianie nikomu przykrości – czy to jest wystarczająca motywacja, by nie ujawniać ważnych spraw z przeszłości, które być może w fatalny sposób wpływały na nasze życie?

– Ja nie mam niczego poza rewelacjami natury psychologicznej. Piszę o tkance życia. Nie byłam przecież w Biurze Politycznym, jedynie dzięki mojemu ojcu mogłam obserwować ułamki historii, które dziś układają mi się w obraz tamtej epoki. Ale dawanie świadectwa nie bardzo mnie interesuje. Moja pasja to przetwarzanie rzeczywistości w sztukę. Powieść *Wiek 21* opowiada jednocześnie o wszystkich czasach i wszystkich kulturach naraz. Kondycja ludzka, pewne momenty egzystencjalne są bowiem powtarzalne.

– Żywoty świętych Weroniki, Agaty, Łucji i miłość *Anny Kareniny* będą dla pani zawsze ciekawsze niż teczki agentów. Czy dzisiejsza rzeczywistość polska mało panią obchodzi?

– Mało ją znam, śledzę bardzo wyrywkowo, głównie na podstawie zachodnich gazet, to za mało, by wydawać jakieś sądy. □

Ewa Kuryluk



Nazywana bywa, nie bez racji, „kobietą o wielu właściwościach”. Jest malarką, autorką instalacji plastycznych, scenografii teatralnych, rysowniczką, uprawia poezję, eseistykę i krytykę artystyczną, wydała kilka znaczących książek z dziedziny historii sztuki, prowadziła wykłady i seminaria na uniwersytetach amerykańskich, w ostatnich czasach oddaje się również pisaniu powieści; po *Wiek 21* powstała już następna – *Grand Hotel Oriental*, o której sama autorka mówi, że to powieść filmowa i poetycka zarazem. Ewa Kuryluk od kilkunastu lat pisze wyłącznie po angielsku, a od 1981 roku mieszka na przemian w Nowym Jorku i Paryżu. Od dzieciństwa jest, zresztą, kosmopolitką, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Jako córka znanego publicysty, redaktora naczelnego „Odrodzenia”, a potem ministra kultury i ambasadora w Wiedniu – Karola Kuryluka, miała możliwość kształcenia się za granicą, obcowania z kulturą europejską, co w czasach realnego socjalizmu było rzadkością.

Urodziła się w 1946 roku w Krakowie, uczyła się w ekskluzywnej szkole dla panienek w Wiedniu, potem studiowała malarstwo w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wiedeń był jej artystyczną kolebką. Jako uczennica przesiadywała w kawiarniach, piła wiedeńską kawę, pisywała opowiadania po niemiecku, przede wszystkim zaś przyglądała się środowiskom artystycznym. W wyborach artystycznych Ewy Kuryluk wielką rolę odgrywała zawsze ciekawość świata. Będąc kilkunastoletnią dziewczyną podróżowała sama po Europie, znała na pamięć architekturę starych miast włoskich, hiszpańskich, francuskich i muzealne sale całej Europy. Posiadła biegłą znajomość kilku języków; mogąc czytać w oryginale literaturę wielu narodów i kultur, jest osobą nieprzeciętnie wykształconą. Pozwala jej to także czuć się jak u siebie w domu w różnych krajach, gdzie wystawia swoje prace malarskie.

Bohaterami twórczości plastycznej i eseistycznej, a także prozy Ewy Kuryluk bywają najczęściej osobistości świata intelektualno-artystycznego, tego znanego jej z życia, z kontaktów artystycznych, jak i z dzieł literackich: Goethe, Propercjusz, Anna Karenina obok współczesnego filozofa Leszka Kołakowskiego... Cieniutkie nici spletające sztukę z życiem i życie ze sztuką interesują Ewę Kuryluk najbardziej. Autorkę *Podróży do granic sztuki*, *Wiedeńskiej Apokalipsy*, *Salome albo o Rozkoszy*, *Chusty świętej Weroniki* niezmiennie fascynują nieuchwytnie i mało obecne we współczesnym polskim piśmiennictwie, ulotne związki Erosa i Thanatosa; wątki erotyczne wtapiają się w eschatologiczną tajemnicę bytu. Opowieści o głodnych uczuciowo intelektualistach stają się często w jej twórczości traktatami o przemijaniu.

Ewa Kuryluk powiada, że to, co fascynuje ją naprawdę, to przetwarzanie rzeczywistości w sztukę, oddalanie się od codziennego realizmu tak daleko, jak tylko jest to możliwe. I choć pozornie ona sama żyje trochę obok życia, nosi w sobie wielką wrażliwość na ludzkie sprawy. Od kilku lat przekonuje nas, że szpitale psychiatryczne nie są wcale pełne ludzi „gorszych”, ale przebywają w nich ludzie „lepsi”, czuli i delikatni, którzy tracą głowę w konfrontacji z naszym piekielnym światem. Ewa Kuryluk wierzy, że można poprawić ich los. Przed trzema laty założyła fundację Amici di Tworki, zorganizowała aukcję, na którą artyści z całego świata przywieźli swe dzieła, by pomóc Tworkom, stworzyć lepszy, godny byt ludziom, którzy nie potrafią udźwignąć ciężaru życia.

L. W. K.